

Człowiek, który dotknął dachu świata

Żeby móc się wspinać, fascynacja musi przeważać nad lękiem i obawą – tłumaczy geodeta LESZEK CICHY, który zimowym wejściem na Mount Everest zapoczątkował erę zimowego himalaizmu, a wiele lat później jako pierwszy Polak zdobył Koronę Ziemi

AGNIESZKA MAŁGORZATA ADAMSKA: Alpinista, geodeta, pracownik naukowy, bankowiec, przedsiębiorca. Pana kariera zawodowa dotyka wielu różnych dziedzin, które wydają się skrajnie odległe.

LESZEK CICHY: O tym wszystkim zdecydowało życie, a także zmiana sytuacji w Polsce. W 1977 r., zaraz po stu-

diach na Wydziale Geodezji i Kartografii, zostałem na Politechnice Warszawskiej i przez 12 lat uczyłem studentów i pracowałem naukowo. Aż w 1989 r. koledzy, którzy wówczas byli na kontrakcie w Syrii, namówili mnie, żebym wyjechał tam zawodowo.

Chodziło o nadzór dużej inwestycji hydrologiczno-geodezyjnej?

Tak. To był potężny obszar w rejonie dopływu Eufratu. Projekt przewidywał zbudowanie dwóch tam i nawadnianie kilku tysięcy km kw. terenu za pomocą kanałów, flumów oraz śluz. W kolejnym roku pracowałem w Latakii, nad samym Morzem Śródziemnym, przy obsłudze geodezyjnej drażnienia siedmiokilometrowego tunelu z dwóch stron, żeby wodę z gór

Wejście na Mount Everest w 1980 r.



doprowadzić na wybrzeże. W tym samym czasie dostałem informację z uczelni, że blokuję etat i czy nie mógłbym zrezygnować. Wtedy właśnie zdecydowałem, że na razie nie wracam do Polski. W Syrii, z racji indywidualnego kontraktu, miałem bardzo dobre warunki. Zapewniono mi duży apartament w mieście na pół piętra – 120 m kw. W porównaniu z polską rzeczywistością, czyli niewielkim mieszkaniem zajmowanym z żoną i dwójką dzieci, to było naprawdę coś. Do dyspozycji miałem też samochód. W Polsce jeździłem maluchem, a w Syrii białym peugeotem 307, takim ze skośnym dachem.

A jednak po dwóch latach postanowił pan porzucić to wygodne życie.

Nadszedł rok 1991, a w kraju zaczęły się duże zmiany. Pojawiła się propozycja pracy w Polsce, pod Magdalenką. Budowano tam nowe osiedle domów jednorodzinnych – chyba pierwsze takie przedsięwzięcie w okolicach Warszawy, a może nawet w całej Polsce. Za tym wszystkim stał inwestor ze Szwajcarii. Zatrudnili mnie do pozyskiwania terenów wokół Warszawy. Mnóstwo moich byłych studentów zajmowało wtedy kierownicze stanowiska w gminach i powiatach, co bardzo ułatwiło mi pracę. Potem jednak okazało się, że inwestycja wystartowała przedwcześnie i projekt splajtował. Po roku pracy nie otrzymałem pełnego wynagrodzenia, ale na uczelnię nie chciałem już wracać.

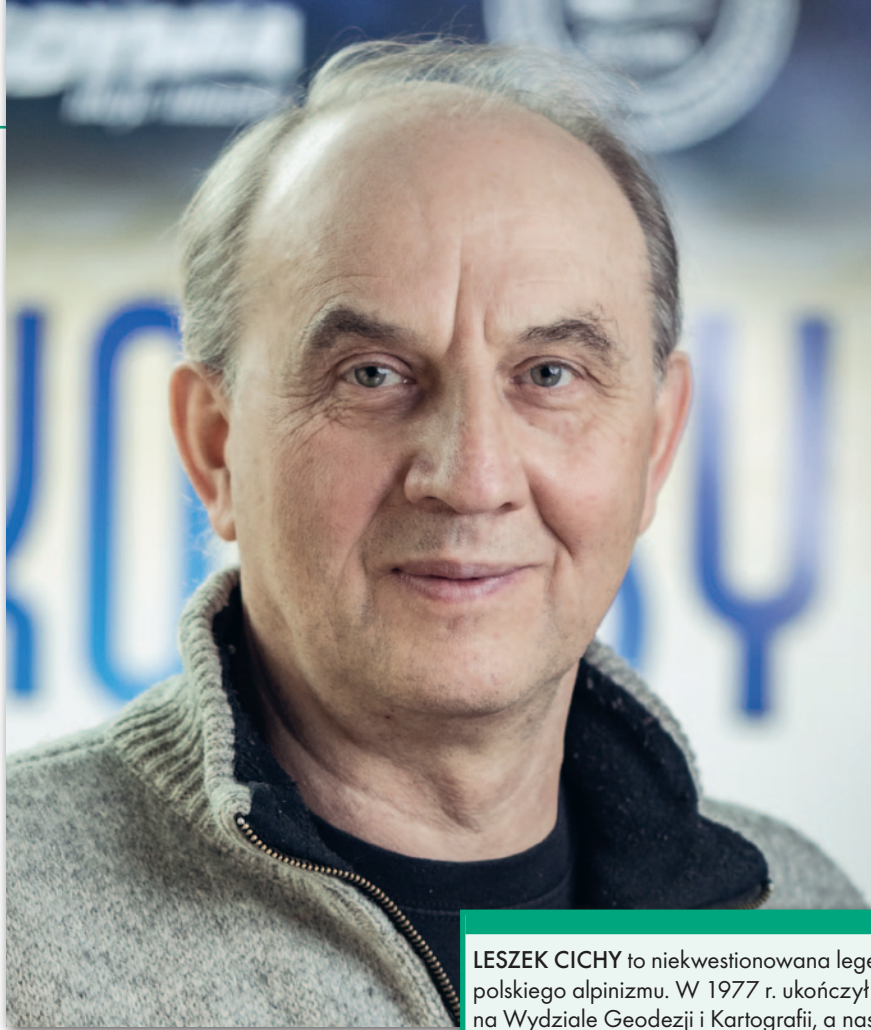
Pewnego dnia zobaczyłem w gazecie ogłoszenie – Polski Bank Rozwoju szukał pracowników. Nie było wymagane wykształcenie ekonomiczne ani doświadczenie w bankowości. Prezes Wojciech Kostrzewa (bardzo znana osobistość w branży finansowej) chciał zatrudnić osoby, które mają doświadczenie w pracy za granicą i studia inżynierskie.

Wszystko się zgadzało!

I tak rozpocząłem pracę na polskim rynku finansowym, najpierw jako stażysta. Taki był czas, że nie mając doświadczenia w bankowości – a była to bankowość inwestycyjna – w półtora roku zostałem zastępcą dyrektora Departamentu Inwestycji i Kapitału, a więc najciekawszego departamentu w banku. Po kolejnym roku objąłem stanowisko dyrektora całego departamentu, bo mój szef awansował do zarządu.

I odważnie zdobywał pan kolejne szczyty – tyle że w bankowości.

To był dobry okres w tej branży. Prezes Kostrzewa uważał, że lepiej będzie nauczyć nowej bankowości zupełnie nowych ludzi, niż zmieniać przyzwyczajenia i nawyki dawnych bankowców. W sumie przepracowałem w bankowości 10 lat. Po połączeniu PBR z BRE Bankiem zosta-



łem wiceprezesem Domu Inwestycyjnego. Potem jeszcze dwa razy zmieniałem banki, ale w końcu poczułem, że ta branża zaczyna mnie nudzić, więc wymyśliłem sobie, że zostanę dyrektorem finansowym. Zadałem o wykształcenie i pracowałem na tym stanowisku w dużych korporacjach jeszcze przez kilka kolejnych lat.

Zaczynał pan od działalności w terenie. Domyślałem się, że ciężko było z tego zrezygnować na rzecz pracy za biurkiem.

Tak naprawdę praca w terenie towarzyszyła mi przez cały czas – począwszy od studiów i późniejszej pracy na uczelni, aż po działalność w bankowości. Na Politechnice Warszawskiej mieliśmy bardzo dużo prac geodezyjno-naukowych, np. obsługa przemieszczeń na terenie Lublińskiego Zagłębia, a także pomiary w Tatrach. Potem był jeszcze duży poligon w rejonie Zalewu Czorsztyńskiego. Po latach takich wyjazdów bankowość jawiła mi się jako zupełnie nowa, fascynująca dziedzina. Kiedy byłem dyrektorem Departamentu Inwestycyjnego, obsługiwaaliśmy 50 pierwszych spółek, które wchodziły na polską giełdę. Byliśmy uważani za pionierów w tej branży, zarabialiśmy dla banku ogromne pieniądze. Moja praca w bankowości też nie była wcale pracą za biurka. Jeździłem po Europie, byłem na stażu w Chicago. Dużo też wykładałem, bo wciąż umiem i lubię to robić. Jak słusznie pani zauważyła, w moim życiu zawodowym było dużo zmian, ale i du-

LESZEK CICHY to niekwestionowana legenda polskiego alpinizmu. W 1977 r. ukończył studia na Wydziale Geodezji i Kartografii, a następnie przez 12 lat był pracownikiem naukowym tego wydziału. W lutym 1980 r. razem z Krzysztofem Wielickim jako pierwsi na świecie zdobyli Mount Everest zimą. Leszek Cichy jest też pierwszym Polakiem, któremu udało się skompletować Koronę Ziemi, czyli wejść na najwyższe szczyty górskie poszczególnych części świata.

żo niezwykle ciekawych doświadczeń. Dziś uważam, że zarobiłem już swoje pieniądze i obecnie skupiam się głównie na tym, co kocham – organizuję prywatne wyjazdy w góry dla znajomych.

Jednak na czas pracy w bankowości i finansach pana ukochane góry musiały pójść w odstawkę...

Zabrakło na nie przestrzeni czasowej. Ale w końcu poczułem, że bardzo chcę wrócić do tych swoich wypraw i wtedy właśnie pomyślałem o Koronie Ziemi. Chciałem zamknąć ten projekt, bo miałem już na koncie najwyższe szczyty: Mount Everest, Aconcaguę, Denali (McKinley), Mont Blanc i Elbrus. Brakowało mi tylko Mount Vinsona na Antarktydzie, Kilimandżaro w Afryce, Góry Kościuszki w Australii i Piramidy Carstensa (Puncak Jaya) w Nowej Gwinei.

Problemem był Mount Vinson – taka wyprawa kosztowała na „dzień dobry” 30 tys. dolarów. Udział Marka Kamińskiego trochę obniżył nam cenę, bo nie potrzebowaliśmy przewodnika, ale mimo wszystko trzeba było jeszcze zorganizować 20 tys. dolarów. Pod koniec

lat 90. moja pensja na uczelni wynosiła mniej więcej 8 dolarów, a jak potem zmieniły się kursy i podniesiono zarobki, to 20 dolarów. Przy takiej płacy marzenie o Koronie Ziemi było zupełną abstrakcją. Sytuacja zmieniła się, gdy zacząłem pracować w banku – wtedy moja pensja wynosiła już kilkaset dolarów w skali miesiąca. A i tak ciężko było z tego cokolwiek odłożyć, bo priorytetem były oczywiście dom i rodzina... Dlatego, żeby zorganizować taki wyjazd, zwróciłem się do zarządu swojego banku. Wiedziałem już, że w najbliższym czasie dostanę wysoką pre-

kolonii w Szklarskiej Porębie – na rok przed maturą, kiedy pojechałem z młodszym bratem w Tatry. Byliśmy tam tylko 3,5 dnia i nocowaliśmy na Toporowej Cyrhli, gdzie znajdowała się baza namiotowa. Początkowo naszym celem był Turbacz, ale ostatecznie pojechaliśmy do Zakopanego i weszliśmy na Kopieniec Wielki – taki niewielki szczycik, ponad 1300 m w reglach tatrzańskich. Widok na zamglone góry tak bardzo mnie zafascynował, że po przyjeździe od razu zacząłem czytać książki o górach, o polskich wyprawach przed- i powojennych. Jak tyl-

strony wygląda to trudno, ale przejdę troszkę w lewo, troszkę w prawo i dam radę” – ci raczej będą się wspinać. Spośród tych trzech grup pierwsza jest zdecydowanie największa, a ostatnia najmniejsza, jakieś 3–5 proc.

Skoro tak pokochał pan góry, to skąd pomysł na studia na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej? Czy to miał być bezpieczny plan na przyszłość?

Nie. Tak naprawdę moją ukochaną nauką była fizyka. Nawet zdałem na Wydział Fizyki na Uniwersytecie Warszaw-



Leszek Cichy z Markiem Kamińskim na najwyższym szczycie Antarktydy – Mount Vinson (4892 m), 1998 r.

mię, więc poprosiłem, żeby mi ją wypłacono awansem. Ku mojemu zaskoczeniu zarząd zdecydował, że przyzna mi 20 tys. nagrody z przeznaczeniem na dokończenie mojej Korony Ziemi.

Cała wyprawa zajęła nam 18 dni. Jak już zdobyliśmy z Markiem Kamińskim Mount Vinson na Antarktydzie, to pojawiła się myśl, żeby zaliczyć jeszcze Kilimandżaro, już za własne pieniądze. A potem prosto z Afryki poleciliśmy do Australii, żeby wejść na Górę Kościuszki. To był szalony wyjazd, bo podczas jednego urlopu zdobyłem trzy szczyty (*śmiech*).

Miłość do wspinaczki pojawiła się u pana w wieku 17 lat. Już wtedy wiedział pan, że góry staną się częścią życia?

To też była kwestia przypadku. Pierwszy raz góry zobaczyłem – nie licząc

ko zdałem na Politechnikę, zapisałem się do AKA, czyli do Akademickiego Klubu Alpinistycznego.

Góry potrafią być fascynujące przez zapierające dech w piersiach widoki, przez poczucie odosobnienia – choć o to akurat coraz trudniej... Młodzi ludzie często pytają mnie: „Czy ja też mogę się wspinać?”. Mówię im wtedy: „Weź rodziców, jedźcie do Zakopanego i podejdźcie pod północną ścianę Giewontu”. Na taki widok są zazwyczaj trzy bardzo wyraźne wyodrębnione reakcje. Niektórzy popatrzą na szczyt i pomyślą: „To jest przerażające, zdecydowanie lepiej czuję się na Krupówkach”, inni stwierdzą: „Stromo, ale na pewno z drugiej strony da się łatwo wejść” – to turyści. A ta ostatnia, niewielka część ludzi pomyśli: „Z tej

skim, ale już na pierwszym roku studiów przeżyłem rozczarowanie – w kółko matematyka i algebra, a do tej fizyki było jednak bardzo daleko. Pamiętam do dziś profesora Kajetana Wróblewskiego, świetnego wykładowcę. Jego zajęcia to były istne fajerwerki pomysłów. Ale w trakcie tych studiów poczułem, że ciągnie mnie do morza i postanowiłem zdawać do Szkoły Morskiej. O ile egzaminy zaliczyłem na same piątki, to podczas badań lekarskich okazało się, że lewe oko mam słabsze od prawego i na nawigatora się nie nadaję – co najwyżej do maszynowni albo na statek rybacki. A ja marzyłem, żeby być kapitanem! Powiedziano mi, że z takimi ocenami mogę sobie wybrać dowolną uczelnię w Polsce. Pomyślałem, że taka przestrzenna nauka jak geodezja mo-

że być ciekawa i w ten sposób trafiłem na Politechnikę Warszawską.

Jak pan wspomina te studia?

Uważam, że to był jeden z najbardziej fascynujących etapów w moim życiu. Co prawda, geodezja to liczby, liczby, liczby, ale potem bardzo mi się to przydało. Dziś nie pracuję już w banku, a wciąż interesuję się finansami, obligacjami, kursami walut. Ćwiczenia na studiach polegały głównie na wyliczeniach, a przecież wtedy nie było jeszcze elektronicznych kalkulatorów. Pamiętam, jak z Londynu przyjechał kolega Edward Len i przywiózł pierwszy kalkulator – amerykańskiego Texasa. To była duża, gruba maszyna na diodach i ożywiście na prąd. Na Politechnice do liczenia mieliśmy Wylęgarnię, czyli korytarz w Gmachu Głównym. Wszyscy żeśmy tam liczyli ćwiczenia na kręciolkach – arytmometrach „Triumphator”, raz w lewo, raz w prawo...

W moich czasach na geodezji było dużo praktyk – minimum miesiąc na rok, a raz nawet dwa miesiące praktycznych zadań w terenie. Głównie odbywało się to w Grybowie, bo tam mieliśmy swój polygon, ale jeździliśmy też do ośrodka w Sabinowie. Te praktyki bardzo nas do siebie zbliżały. Podczas takich wyjazdów często mieliśmy połowę soboty i niedzielę wolną, więc jeździliśmy na wspólne wycieczki, organizowaliśmy sobie różne atrakcje.

Geodezji uczono nas dosyć szeroko. Czasem nawet wydawało się, że niektóre rzeczy nie będą w przyszłości potrzebne. Ale kiedy podjąłem samodzielną pracę w Syrii, moja wiedza pozwoliła mi szybko zaadaptować się do nowych zadań i czułem, że jestem dobrze przygotowany do działania.

W jednym z wywiadów powiedział pan: „Na Everest wybrało się dwóch inżynierów z kluczem francuskim w dłoni”. Czy nauka na Politechnice przydała się też podczas dalekich wypraw?

Raczej nie. Oczywiście, na wyprawach byłem tym, który przygotowywał na przykład materiały kartograficzne, ale tego było niewiele i to właściwie mógł zrobić prawie każdy. Przy pierwszej polskiej wyprawie na K2 w 1976 roku chcieliśmy wytyczyć nową drogę na szczyt (dotychczas było tylko jedno wejście na tę górę). Wybraliśmy kilka możliwości i wtedy przygotowałem profile różnych dróg, żeby stworzyć większe pole manewru. Natomiast ogólnej orientacji w terenie na studiach geodezyjnych się raczej nie nabędzie, chociaż można ją pogłębić. A polega to na umiejętności „wgrania” sobie w głowę mapy.

Ale na wyprawach zajmowałem się nie tylko wytyczaniem szlaków. Mieszkając w Warszawie, często składałem za wszystkich kolegów wnioski paszporto-

we i załatwiałem wizy. Moją specjalnością była także organizacja butli z tlenem. W czasach, kiedy wyruszałoby na Everest, używało się butli francuskich lub amerykańskich. Jedne od drugich różniły się tym, że miały gwint damski lub męski. W związku z tym musiałem dorobić z mosiądzu nakrętki na wszystkie kombinacje, żeby móc je dopasować do każdego rodzaju butli. Do tego jeszcze trzeba było je odpowiednio zakręcić, żeby nie uciekał z nich tlen. Każda butla miała 200 atmosfer ciśnienia, a na dodatek nie mógł się tam dostać tłuszcz, bo butla z tłuszczem wybucha. Stąd właśnie wziął się na wyprawie ten klucz francuski.

Pana osiągnięcia wspinaczkowe przypadły na trudne czasy dla polskich alpinistów. Ze zdumieniem przeczytałam, że podczas wyprawy na najwyższy szczyt świata nie mieliście profesjonalnego sprzętu – np. za gogle służyły okulary spawalnicze, a za solidne obuwie – buty na korkowej podeszwie...

Pamiętam swój pierwszy wyjazd poza Tatry w 1973 r. – w Alpy, pod Mount Blanc. Dostaliśmy wtedy 110 dolarów i z tego jeszcze udało nam się kupić na miejscu tanie buty wspinaczkowe, kask i na spółkę z kolegą linę. W Polsce było takie przedsiębiorstwo w Górze Kalwarii, ale oni produkowali tam tylko kijki i narty. Na sprzęt profesjonalny był wtedy za mały rynek. Oczywiście, potem to się zmieniło i każda kolejna wyprawa była lepiej zaopatrzona.

Te wspomniane przez panią okulary spawalnicze miały wiele zalet. Przede wszystkim były to okulary ze szkła, które dobrze chroniły oczy przed promieniami UV. Dziś już się nie robi szklanych gogli – wszystkie są z plastiku. Takie okulary przyciemniają, ale nie zatrzymują groźnego promieniowania. Z kolei buty z korkową podeszwą były zabiegiem w pełni świadomym. Ich pomysłodawcą był kierownik naszej wyprawy Andrzej Zawada. Wtedy jedynym producentem takich butów sportowych było Krosno. Niestety, buty narciarskie tej firmy miały jedną wadę – odpadały od nich podeszwy. Kiedy Zawada pojechał do tego przedsiębiorstwa, zapytali go: „Którędy ucieka najwięcej ciepła?”, na co odpowiedział, że dołem, bo dotykamy stopami do lodu, który czasem ma nawet 40 stopni na minusie. „A co chroni przed zimnem?” – Zawada odparł, że korek, więc dołożyli w podeszwie dużą warstwę korka. I tak powstał prototyp buta, który potem został przejęty przez firmy zachodnie. Do dziś wiele marek sportowych robi udoskonalone buty według pomysłu Andrzeja Zawady. Na tej samej zasadzie modyfikowaliśmy odzież – spodnie, kurtki puchowe,

kombinezony. Miały być nie tylko ciepłe, ale także – w razie potrzeby – łatwe do zdjęcia, bez konieczności zużywania do tego energii i niepotrzebnego ubytku ciepła. Kolejne pomysły wynikały po prostu z naszych doświadczeń.

Czy lęk przed niebezpieczeństwem czyhającym na szlaku to coś, czego można się wyzbyc? Strach pomaga czy przeszkadza we wspinaczce?

Wspominałem o tych 5 proc. ludzi, którzy zobaczą góry i chcą się potem wspiąć. Ta naturalna selekcja trwa także na późniejszych etapach. Jeżeli komuś podoba się w Tatrach, to zaczyna jeździć na lodowce. Niektórzy potem docierają w Himalaje i czasem okazuje się, że źle znoszą kilkumiesięczne odosobnienie, przebywanie w małej grupie, tę codzienną powtarzalność i trud aklimatyzacji – znowu część osób na tym etapie odpada. Jeżeli ktoś zaakceptuje taki stan rzeczy i dalej mu się to podoba, to lęk przed wyjazdem także musi zostać w jakiś sposób zaakceptowany. To nie jest tak, że my na wyprawie każdego dnia myślimy: „Boże, jak tu jest trudno i niebezpiecznie” – wtedy nie dałoby się żyć. Fascynacja musi jednak przeważać nad lękiem i obawą.

Mnie wystarcza świadomość, że będąc w górach, staram się nie przyczynić do powiększenia skali niebezpieczeństwa. Same góry, a także śnieg, lód, lawiny, szczeliny czy pionowość ścian niesie za sobą pewne obiektywne ryzyko – obiektywne wtedy, jak się już w nich znajdziemy. Staram się działać na tyle profesjonalnie, żeby tego zagrożenia nie powiększać.

Warto tak ryzykować? Co panu dały te wszystkie wyjazdy?

Kiedy jeszcze pracowałem na uczelni i przyjechałem z kolejnej wyprawy (trwała ok. 3,5 miesiąca), zapytałem kolegów: „Co nowego? Coś się wydarzyło?”, a oni popatrzyli na mnie z dziwnymi minami i powiedzieli, że nic – jest tak, jak było. A dla mnie to był zupełnie odrębny okres, w którym ilość emocji i przeżyć była tak ogromna, jakby to nie były 3 miesiące, tylko wiele lat normalnego życia. W latach 70. i 80. alpinizm dawał jeszcze jedną korzyść. Pani tego nie pamięta, ale to były czasy, kiedy nieważne było, czy się skończy lepsze studia, czy gorsze – każdy potem dostawał jakąś pracę. Natomiast przed wyprawami sami musieliśmy sobie wymyślać cele, zdobyć pieniądze i w całości zorganizować taki wyjazd, a potem sami jechaliśmy na wyprawę. To było też okno na świat – mogliśmy podróżować, odkrywać nieznanne, egzotyczne zakątki globu, o których większość Polaków nawet się nie śniła.

(Naszą rozmowę na moment przerywa telefon).

Dzwonił ksiądz Kardasz. Nie był uczestnikiem wyprawy zimowej na Mount Everest w 1980 r., ale dotarł wtedy do bazy pod koniec naszej wyprawy i odprawił tam mszę.

W pana wspomnieniach z tej podróży radość i duma przewijała się ze smutkiem, np. wtedy, gdy znalazł pan kartkę pozostawioną w 1979 r. przez Raya Geneta, który niestety zginął w drodze powrotnej ze szczytu, albo gdy na trasie natknęliście się na ciało koleżanki Geneta, Hannelore Schmatz.

Niechętnie rozmawiamy z kolegami na ten temat, ale jeżeli już się pojawi taka dyskusja, to dominuje w niej przekonanie, że oczywiście, w górach zdarzają się tragedie, ale nam to się nie przytrafi. To sa-

do się upowszechniły przez ostatnie lata. Ale największym zainteresowaniem w turystyce wysokogórskiej cieszy się zaledwie kilka ośmiotysięczników – zdecydowana większość gór wciąż jest tylko dla nas – himalaistów. Ponieważ większość z tych szczytów już dawno zdobyto, obecnie wyprawy ekstremalne organizowane są na niższe szczyty, ale bardzo trudnymi technicznie drogami. To za takie przejścia można dostać Złoty Czekan, czyli nagrodę za najlepsze przejścia w danym roku. Zaledwie około 50 himalaistów na całym świecie – a nawet mniej – jest w ogóle branych pod uwagę w tym konkursie.

Niedawny sukces Nepalczyków, którzy zimą zdobyli K2, uruchomił lawinę nieprzychylnych komentarzy, podważających sportowy charakter tego osiągnięcia. Pan oraz pana kolega Krzysztof Wielicki także doświadczyliście tego po zdobyciu Mount Everestu, kiedy włoski alpinista Reinhold Messner usiłował umniejszyć wasz sukces.

Ale czas pokazał, że nie miał racji. Teraz już wszędzie mówi się, że nasze wejście na Mount Everest zapoczątkowało erę zimowego himalaizmu.

Zastanawia mnie, skąd tyle negatywnych reakcji w tym środowisku – jakby himalaści nie potrafili się cieszyć sukcesami kolegów.

Pomysł na nasze wyprawy wyszedł z Akademickiego Klubu Alpinistycznego Politechniki Warszawskiej. Najpierw zorganizowaliśmy wyjazd do Afganistanu na szczyt Noszak w górach Hindukusz. Andrzej Zawada się pod ten pomysł podpisał i potem kontynuował pomysł zimowych wejść na ośmiotysięczniki. Mount Everest był naszym wielkim marzeniem. Wszystkie ośmiotysięczniki zostały już zdobyte latem – nawet ich boczne wierzchołki. Wydaje mi się, że Messner widział tu pole do działania zimą, które nieoczekiwanie zabrali mu Polacy.

Co do Nepalczyków – tę złą prasę po części zapoczątkowali Polacy. Negatywna wypowiedź Janusza Majera, który – nie znając szczegółów wyprawy – wytknął uczestnikom, że ich styl wspinaczki można było poprawić. Potem okazało się, że jeden z Nepalczyków szedł na szczyt bez tlenu. Adam Bielecki wypowiedział się w sposób głupi, arogancki i bezsensowny – nawet młody wiek tego nie usprawiedliwia. Najlepszą puentą dla jego wypowiedzi jest taki mem, gdzie na szczycie stoją Nepalczycy z kartką, na której jest napisane: „Adam, czekamy tu na Ciebie”...

Myślę sobie tak – jeżeli ktoś ma zastrzeżenia, to niech sam zdobędzie szczyt w lepszym stylu. Oczywiście, nie da się zaprzeczyć, że Nepalczycy mieli kupę szczęścia. Trafili na świetną pogodę, któ-

ra trwała bardzo długo. Codziennie śledziłem prognozę na poszczególnych wysokościach K2. Podczas ich wyprawy było o 10 stopni cieplej, niż zazwyczaj o tej porze roku, czyli nie –48, tylko –37 stopni. To jest ogromna różnica. A co najważniejsze – przez te kilka dni nie było wiatru, co jest absolutnym ewenementem. Jedyne zastrzeżenia, jakie mogą mieć, to fakt, że Nepalczycy wyruszyli na wyprawę komercyjną z chętnymi, którzy chcieli spróbować swoich sił. Oni mieli tam tylko poręczować ostatni odcinek. Ale okazało się, że warunki atmosferyczne są świetne i zdecydowali ruszyć na szczyt. Potem taka pogoda się już nie powtórzyła. W kolejnych próbach wejścia zginęło pięć osób. Nepalczycy wykorzystali szansę i uważam, że to jest sprawiedliwość dziejowa, że im się udało.

Razem z Krzysztofem Wielickim wysłał mi depeszę gratulacyjną do Ministerstwa Turystyki w Nepalu i do ambasady Nepalu w Berlinie. Otrzymałem od nich piękną odpowiedź, że dziękują za gratulacje od zimowych zdobywców Everestu. Uważam, że tak się należało zachować. Myślę, że przez nasze środowisko alpinistyczne trochę przemawiało hasło: „zimowe K2 dla Polaków”. Niektórzy poczuli się tak, jakby coś nam ukradziono.

Jakie są pana cele i marzenia wspinaczkowe na najbliższy czas?

Wie pani, ja w listopadzie skończę 70 lat (*śmiech*). Co prawda, w tym roku byłem już dwa razy na Islandii i tam się wspiąłem. W czerwcu kolejny raz byłem na Kilimandżaro. Niedawno zorganizowałem też wyjazd w Tatry do Doliny Rostoki. Weszliśmy na Szpiglasowy Wierch i Rysy, a potem przejechaliśmy jeszcze na słowacką świętą górę – Krywań. Jak na tylko siedem dni w górach to naprawdę był bardzo intensywny wyjazd. Ciągłe jeszcze jestem aktywny. Staram się jak najdłużej utrzymywać dobrą kondycję, która pozwoli mi traktować góry nie tylko turystycznie, czyli oglądać widoki, ale wciąż ich doświadczać, wspinać się. Mam nadzieję, że będę mógł to kontynuować jeszcze przez 10, 20 lat. Kiedyś dziennikarka mnie zapytała: „Panie Leszku, co pan będzie robił na emeryturze?”, odpowiedziałem jej wtedy: „Jak przejdę na emeryturę w wieku stu lat, to już będzie mi wszystko jedno” (*śmiech*).

Chciałbym po prostu, żeby góry wciąż sprawiały mi satysfakcję i ciągle mnie zachwycały. W przyszłym roku znowu planuję wyjazdy na Islandię i wyprawę na Kilimandżaro. A jeżeli pojawi się jakieś wyzwanie, kolejny szczyt do zdobycia? Proszę bardzo, czemu nie!

Rozmawiała Agnieszka Małgorzata Adamska
dziennikarka związana
z redakcją Wirtualnej Polski,
autorka bloga Rude Rude Girl



Leszek Cichy w bazie po zejściu z Mount Everestu, 19 lutego 1980 r.

mo podejście funkcjonuje w codziennym życiu. Wiadomo, że każdego dnia jest wiele strasznych wypadków na drogach, ale mimo wszystko siadamy za kierownicą z myślą, że nic nam się nie stanie.

Paru moich kolegów zakończyło życie w górach. Nie da się przejść koło tego obojętnie. Ale to jednak jest fascynujące zajęcie, z którego ciężko zrezygnować. Oczywiście, teraz w himalaizmie wiele się zmienia. My mieliśmy taki sprzyjający czas, że jechaliśmy na wyprawy zdobywcze. Wyruszając na górę Shispare w Pakistanie, wiedzieliśmy, że przed nami były tam tylko dwie wyprawy. Łącznie może dotarło w to miejsce dwudziestu Europejczyków – nie licząc wojsk Aleksandra Macedońskiego. Teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej. Wyprawy górskie bar-